

**STEFAN POMER**

---

WIERSZE WYBRANE

**4** BIBLIOTEKA  
ZAPOMNIANYCH  
POETÓW

WYDAWNICTWO OŚRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”





**STEFAN POMER**

WIERSZE WYBRANE



**4** BIBLIOTEKA  
ZAPOMNIANYCH  
POETÓW





**Ministerstwo  
Kultury  
i Dziedzictwa  
Narodowego.**

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

# STEFAN POMER

WIERSZE WYBRANE

**REDAKTOR SERII**

PIOTR MITZNER

**4** BIBLIOTEKA  
ZAPOMNIANYCH  
POETÓW

**WYBÓR I WSTĘP**

KAROLINA FAMULSKA-CIESIELSKA

WYDAWNICTWO OŚRODEK „BRAMA GRODZKA – TEATR NN”



KAROLINA FAMULSKA-CIESIELSKA

## POETA W TRYBACH HISTORII

Stefan Pomer to postać zagadkowa – poeta, który silnie zaznaczył swoją obecność na literackiej mapie dwudziestolecia międzywojennego, bardzo aktywny uczestnik życia literackiego, a jednocześnie twórca, o którym historykom literatury wiadomo bardzo niewiele.

Nieznana pozostaje nie tylko data jego urodzenia – nawet nazwisko okazuje się niepewne. Eugenia Prokop-Janiec postawiła hipotezę, że przypuszczalnie w rzeczywistości nazywał się Pomeranz. Badaczka ta dotarła także do informacji, iż poeta urodził się najprawdopodobniej w Borszczowie na Podolu w pierwszej dekadzie XX w.<sup>1</sup> W latach dwudziestych studiował polonistykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Związał się wówczas z polsko-żydowskim opiniotwórczym dziennikiem „Chwila”, gdzie od 1928 r. ogłaszał wiersze, artykuły krytyczne i publicystykę literacką. W 1930 r. wyjechał do Warszawy. W latach 1931–1939 pełnił funkcję redaktora dziennika warszawskiego „5 Rano”. Przez cały okres swojej aktywności twórczej współpracował z licznymi tytułami prasowymi – polskimi i polsko-żydowskimi. Publikował wiersze, przekłady z jidysz oraz szkice literackie – w „Nowym Dzienniku”, „Naszym Przeglądzie”, „Opinii”, „Naszej Opinii”, „Sterze”, „Lekturze”, „Nowym Głosie”, „Ewie”, „Bluszczu”, „Gazecie Polskiej”, „Głosie Literackim”,

<sup>1</sup> Zob. E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska jako zjawisko kulturowe i artystyczne*, Universitas, Kraków 1992, s. 312.

„Okolicy Poetów”, „Głosie Prawdy”, „Kurierze Literacko-Naukowym” i „Tygodniku Ilustrowanym”. Publikował także w jidysz, dla pisma „Globus”, a głównie w języku polskim pisywał o twórczości autorów polskich, żydowskich oraz polsko-żydowskich, między innymi o Stanisławie Wyspiańskim, Marii Kuncewiczowej, Jarosławie Iwaszkiewicz, Icyku Mangerze, Zusmanie Segalowiczu czy Jakubie Apenszlaku.

W jego tłumaczeniu ukazały się powieści *Trzy pary narzeczonych* Zusmana Segalowicza (Ch. Brzoza, Warszawa 1936) i *Bracia Aszkenazy* Izraela Jozuy Singera („Nasz Przegląd” 1935, numery 105–189) oraz krótsze teksty prozatorskie, m.in. autorstwa Segalowicza, Menachema Kipnisa i Efraima Kaganowskiego (które ukazywały się w „Naszym Przeglądzie”)<sup>2</sup>.

Środowisko młodych poetów skupionych wokół „Chwili” było bardzo aktywne. Pomer, wraz z takimi twórcami, jak Anda Ekerówna, Karol Dresdner, Maurycy Szymel, Daniel Ihr, Minka Silbermannówna czy Horacy Safrin, stworzył wyrazistą i dynamiczną grupę literacką, a poprzez swoje teksty publicystyczne wraz z innymi członkami grupy kształtował jej program. Jak zauważyła Eugenia Prokop-Janiec: „Właśnie z kręgu »Chwili« wyłoniła się około roku 1929 grupa poetycka, która wyraźnie wyróżniała się regionalnym galicyjskim tonem, a ze względu na wybitne i oryginalne talenty swych członków zajęła czołowe miejsce w literaturze polsko-żydowskiej”<sup>3</sup>. Pomer występował wraz z kolegami – najczęściej z Maurycym Szymlem i Danielem Ihrefem, czasami także z Andą Ekerówną i Karolem Dresdnerem – na liczących

<sup>2</sup> Za informacje bibliograficzne dotyczące działalności przekładowej i publicystycznej Stefana Pomera dziękuję dr Monice Szablowskiej-Zarembie.

<sup>3</sup> E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska...*, s. 32.





wieczorach autorskich, które cieszyły się znacznym zainteresowaniem publiczności literackiej. Odbywały się one w siedzibie Instytutu Technologicznego lub w Teatrze „Rozmaitości” we Lwowie. Pomer wydał tylko jedną książkę poetycką – *Elegie podolskie* (Księgarnia F. Hoesicka, Warszawa 1931).

Dokładna data i okoliczności śmierci Stefana Pomera nie są znane. Po wybuchu II wojny światowej trafił ponownie do Lwowa. Julian Strykowski informował, iż poeta prawdopodobnie zmarł w tym mieście w 1941 r., jeszcze w okresie okupacji sowieckiej<sup>4</sup>.

\*\*\*

Stefan Pomer łączył twórczość w języku polskim z żydowską świadomością narodową. Jego twórczość jest świadectwem przywiązania do obydwu kultur. Współtworzył wyjątkowy fenomen kulturowy, znakomicie opisany w publikacjach Eugenii Prokop-Janiec. Miał świadomość przynależności do środowiska, które sam następująco charakteryzował w swojej publicystyce:

[...] są już w Polsce pisarze Żydzi [...], którzy się nie wstydzą Syjonu i Jordanu, swojej przeszłości historycznej i swojego obyczaju; pisarze, którzy kochają zarówno Syjon, jak Wawel, zarówno Wisłę, jak Jordan; pisarze, którzy opiewają zarówno ziemię, na której żyją, jak i radości, bóle i smutki swego narodu. Jest ich już spora ilość i będzie coraz więcej.<sup>5</sup>

<sup>4</sup> Zob. *ibidem*.

<sup>5</sup> S. Pomer, *Żydzi w literaturze polskiej*, „Nasz Przegląd” 1933, nr 71 (cyt. za: E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska...*, s. 28).



Środowisko literackie, w którym Pomer funkcjonował jako twórca, było otwarte i na odbiorców żydowskich, i polskich<sup>6</sup>. Twórczość autora *Elegii podolskich* spotkała się z żywą reakcją krytyki – tak na łamach pism polsko-żydowskich, jak i ogólnopolskich. W świecie literackim witano go z jednej strony jako poetę polsko-żydowskiego, a z drugiej – piewcę Kresów. Dostrzegł to i podkreślał już wybitny krytyk polsko-żydowski, Chaim Löw:

Rzadko kiedy utwór rdzennie polskiego poety spotkał się z taką ogólną aprobatą jak *Elegie podolskie* (1931) Pomera. Bez zastrzeżeń witano w nim regionalistę polskiego, omalże nie „pieśniarza Kresów”. Ujęła krytyków prostota, bezpośredniość i szczerłość, uderzyła melancholijna nuta prowincjonalna, tak miła uchu po urbanistycznych orgiach poprzedniej awangardy poetyckiej. [...] Wraca poeta do rodzinnego gniazda, patrzy na nie już to z wyżyn wielkomięjskiego inteligenta, co się tylko jako chwilowy gość wrócił do błota i kaźni małomiasteczkowej, już to z sympatią i czułością poety, porównującego burzliwą terażniejszość z błogostanem przeszłości i poszukującego nowych tematów i wrażeń. [...] W prostych i przejmujących słowach przedstawił nam poeta żrącą tęsknotę miasteczka żydowskiego na Podolu, z jego nawierzchnią polskiej kultury, promieniejącej na ruskie chłopstwo, jego banalną beznadziejność i sentymentalną konieczność.<sup>7</sup>

Eugenia Prokop-Janiec przypomniała w tym kontekście opinię Jana Szczawieja:

<sup>6</sup> Zob. E. Prokop-Janiec, *Wstęp*, [w:] *Międzywojenna poezja polsko-żydowska. Antologia*, Universitas, Kraków 1996, s. 24.

<sup>7</sup> Ch. Löw, *Żydzi w poezji Odrodzonej Polski*, „Miesięcznik Żydowski” 1934, nr 4.



Jego tomik [*Elegie podolskie* – K. F.-C.] został życzliwie powitany także w ogólnopolskim obiegu literackim. Nie zawsze nawet zwracano przy tym uwagę na żydowski aspekt jego twórczości. Jan Szczawiej na przykład, recenzując debiutancie tomiki Stefana Pomera i Maurycyego Szymła, zwracał uwagę przede wszystkim na „szczerłość”, „autentyzm” i „akcenty szlachetnego regionalizmu”.<sup>8</sup>

Karol Dresdner, jeden z bliskich kolegów Pomera, należący do tego samego środowiska twórczego, pisał o zbiorze *Elegie podolskie* następująco:

Z tomem Pomera wkracza do poezji polskiej brudne miasteczko podolskie, toteż nie dość trafne wydaje mi się zapożyczone [z] poezji romantycznej motto: „W słodkiem powietrzu Podola”.

Po *Elegiach* nie powiał ów słodki wiatr Ukrainy, nie czuć w nich ciężkiej woni bujnego kwiecia, nie słyhać szumiącej rzeki, szelestu drzew, rozchwianych kłosów. Ani śladu kolorowych smug pejzażu, błyszczącego jaskrawo w południowym słońcu Podola. Bo też nie sielskim, nie wsiowym jest regionalizm Pomera.<sup>9</sup>

Dresdner dostrzegł w postaci mówiącej w wierszach Pomera rys syna marnotrawnego – zresztą bardzo wyraźny w wielu wierszach tomu:

Stąd ton elegijny, przenikający całą jego spowiedź poetycką. Elegią (*Powrót*) zaczyna już poeta swój zbiorek. Następuje

<sup>8</sup> Zob. E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska...*, s. 99.

<sup>9</sup> K. Dresdner, *Z młodej poezji. Elegie podolskie*, „Chwila” 1931, nr 4431.



najudańszy w tomiku cykl „Miasteczko”, na który składają się obrazy pełne wdzięku, skończone akwarelki o kolorystyce rozmyślnie ubogim, przechodzącym niemal w monotonną szarą szarynę murów.<sup>10</sup>

Inny poeta, Daniel Ihr, z uznaniem pisał natomiast o kontemplacyjności i nastrojowości wierszy Pomera. Zauważał przy tym:

Z tematu trudnego, w którego realizacji trzeba się utrzymać na wąskiej linii wiodącej między banalnością zdawkowej poetyczności a łatwą satyrą – wyszedł autor obronną ręką, dzięki związkom łączącym go z opiewanym zakątkiem i znacznemu wyrobieniu artystycznemu.<sup>11</sup>

Poetka Anda Ekerówna odrzuciła natomiast pozę poważnego, bezstronnego krytyka – jej recenzja jest świadectwem głęboko emocjonalnego przeżycia rzeczywistości zamkniętej – czy może raczej zakłętej – w poezji Pomera:

[...] to będzie list, wysłany pocztą marzenia do kraju dzieciństwa, do kraju, który został daleko. [...] I w istocie dzieje się tak, jak mówi poeta. [...] miasteczko żyje, wychyla się – z każdej stronicy, wзира z każdej stronicy. Z przedziwnych i subtelnych obrazków składa się ta poetycka mapa żydowskiej miejsciny, ta liryczna geografia uliczek, ścieżek i zaułków. Każda zwrotka jest przewodnikiem, który oprowadza po tym wyczarowanym z przeszłości świecie, pokazuje wszystkie tego zakątka bóle i troski, gorycze, zawody, smutki i krzywdy, zaznajamia nawet z mieszkańcami [...].

<sup>10</sup> *Ibidem*.

<sup>11</sup> D. Ihr, *Elegie o prowincji. Poezje Stefana Pomera*, „Nowy Dziennik” 1931, nr 200.



Przeczytajcie tę książkę. Ujrzyście miasteczko podolskie, zwykłe, a jednak osobliwe, brzydkie, a przecież piękne, takie jak wszystkie miasteczka żydowskie – a właściwie... Właściwie – inne. Między wierszami snują się cienie jakoweś, echa błędzą, ślady zatarte się znaczą... Usłyszycie szepty, szelesty, szmery i imiona rzeczy i spraw umarłych, poczujecie, że pachnie dawną chwilą, przebrzmiałą melodią, wonią miłości minionej.<sup>12</sup>

Otwierające *Elegie podolskie* motto z poezji Maurycego Gosławskiego: „W słodkim powietrzu Podola...”, wyraźnie ukierunkowuje twórczość Pomera, nawiązuje do polskiej tradycji kresowej i romantycznej. Wizja Kresów Pomera jest jednak bardzo skomplikowana i wieloznaczna. Jego Kresy, jego poetyckie Podole to przede wszystkim perspektywa prowincjonalnego miasteczka – rozległe krajobrazy i dzika przyroda są widziane niejako z oddali, co najwyżej z obrzeży miasteczka. Mieścina ta jest jednak – jak zauważyła Eugenia Prokop-Janiec – na wpół wiejska, stanowi całkowite przeciwieństwo wszystkiego, co kojarzy się z dużym miastem<sup>13</sup>. Chaim Löw wprost pisał o antyurbanizmie poety:

Poeta jest zdecydowanym antyurbanistą, a z braku dworku poprzestał na atmosferze miasteczka. Tutaj wyżywa się jego marzycielska postawa wobec życia, a może szuka tu tylko chwilowej przystani po burzliwych przejściach.<sup>14</sup>

<sup>12</sup> A. Ekerówna, „*Elegie podolskie*”, *liryczna geografia żydowskiej mieściny*, „Nowy Dziennik” 1931, nr 312.

<sup>13</sup> Zob. E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska...*, s. 226.

<sup>14</sup> Ch. Löw, *Żydzi w poezji Odrodzonej Polski*, „Miesięcznik Żydowski” 1934, nr 4.



Jak podaje Hałyna Dubyk, Pomer był też związany z grupą literacką Wołyń, założoną prawdopodobnie w 1936 r. przez Czesława Janczarskiego. Ważny element programu tej grupy stanowiło promowanie w poezji regionalizmu ukraińskiego. Związki z tą grupą świadczą o tym, jak istotna była dla Pomera kategoria kresowości jako doświadczenia kulturowego, cywilizacyjnego i estetycznego<sup>15</sup>.

Miasteczko żydowskie – sztetl – to ogromny obszar literacki i artystyczny (wystarczy przywołać chociażby malarstwo Marca Chagalla lub Adama Muszki). Rozległą analizę opracowań literackich tego tematu przeprowadziła Katarzyna Więclawska<sup>16</sup>. W twórczości Pomera – i w jego odniesieniach do kategorii kresowości – jest to temat pierwszoplanowy, czego dowodzi już otwierający tom wiersz *Powrót*. Miasteczko z oddali, widziane oczami człowieka wracającego do niego z wielkiego miasta, caruje urokliwymi widokami:

Jak barwna ilustracja klasycznej eklogi,  
Na przekór rzeczywistości i brzydkiej prawdzie wbrew.

Uczucia owego powracającego człowieka są bardzo złożone – jest to poeta (rys autobiograficzny został w tekstach wielokrotnie zaznaczony), który opuścił biedną miścinę w poszukiwaniu lepszego życia, ale zachował względem

<sup>15</sup> Zob. H. Dubyk, *Pogłosy „szkoły ukraińskiej” w literaturze polskiej dwudziestolecia międzywojennego*, Warszawa 2011 (rozprawa doktorska, dostęp online: [naukairozwoj.uksw.edu.pl/sites/default/files/Rozprawa\\_Dubyk.pdf](http://naukairozwoj.uksw.edu.pl/sites/default/files/Rozprawa_Dubyk.pdf)), s. 168–171.

<sup>16</sup> Zob. K. Więclawska, *Zmartywychwstałe miasteczko... Literackie oblicza sztetli*, Wydawnictwo UMCS, Lublin 2005.



niej silne, choć ambiwalentne przywiązanie, co skłania go do następujących deklaracji:

Uroczną twoją brzydotę czuć w sercu, jak ostry szpikulec,  
Dawną odrazę do ciebie i dawną żarliwość czuć.

Rodzinne miasteczko podolskie jest brzydkie, biedne, ale kochane i urokliwe. Poeta chętnie sięga po opozycję między dniem a nocą. Noc to domena niezwykłości, tajemnicy – uwydatnia to, co w miasteczku piękne – bo jego piękno ani trochę nie łączy się z codziennością, ale właśnie z niezwykłością. Noc zasłania wszelki brud. Księżycowy blask i światło gwiazd przemieniają zgrzebność małomiasteczkowego krajobrazu. Magię uniwersum miasteczka oddaje chociażby wiersz *Studnia*:

15

W dzień jest to zwykła studnia, z której spaczonym wiadrem  
Czerpie się wodę, spływającą w błotnisty wodościek,  
Lecz w nocy na płynnej powierzchni lyskają gwiazdy pobladle,  
A woda ma smak zapomniany minionej, straconej młodości.

Noc potrafi zaczarować rzeczywistość, upiększa – zasłaniając mrokiem to, co oczywiste, realne, namacalne – uwydatnia nieoczywistość, akcentuje ją, ukazuje w całej krasie to, co niewidoczne dla oczu. W każdym obrazie miasteczka wyraźna jest też perspektywa osobista. W pełni ujawnia ono swój „trudny” charakter w relacji z poetą, człowiekiem, który jest w stanie rozpoznać moc



i głębię tego miejsca. To swoją straconą młodość odnajduje człowiek wracający do miasteczka – w wodzie ze studni odmienionej przez nocny blask gwiazd.

Podolska miejscina inaczej wygląda z bliska, a inaczej z daleka, inaczej w dzień, inaczej zaś w nocy – poeta krąży wokół miasteczka; to przybliża się, to oddala, zmienia perspektywy, mruży oczy, na czynniki pierwsze rozkłada swoje ambiwalentne uczucia – połączenie fascynacji i bólu, miłości i lekceważenia.

To w miasteczku tkwią źródła żydowskiej tożsamości poety – tam stoi niepozorna bożniczka, tam zostali rodzice – zbyt słabo kochani i cenieni, których rozumie się i docenia dopiero po latach, czasami już po ich śmierci. Rodzice są częścią tego świata–miasteczka. Tęsknota za nim to także tęsknota za własnym dzieciństwem. Sztetl ucieleśnia ograniczenie, ale też miłość i poczucie bezpieczeństwa (miasteczko w wierszu *Powrót z jednej strony* bywa określane jako „głuche więzienie”, a z drugiej – „czarodziejska kolebka”). Tu także – jak się wydaje – należy szukać źródła wyobraźni poetyckiej – jej głębi, ale i egzystencjalnych ograniczeń.

Co znamienne, nigdy, w żadnym ze swych wierszy – bardzo konsekwentnie – poeta nie wymienia nazwy miasteczka, które stanowi jeden z głównych tematów jego poezji. Jest to zjawisko charakterystyczne właściwie dla całej międzywojennej poezji polsko-żydowskiej<sup>17</sup>. Takie nienazwane miasteczko miało reprezentować wszystkie podobne miesciny i zaplątane w nie żydowskie losy. Owo przemilczenie można uznać za element strategii twórczej

<sup>17</sup> Zob. E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska...*, s. 227.



– swoistą uniwersalizację miejsca, które niejako ucieleśnia i reprezentuje wszystkie „miasteczka podolskie”, czy w ogóle kresowe żydowskie sztetle. Los autora, także zarysowany na kartach tych utworów, można zaś uznać za pewien wzorzec drogi życiowej – wyemancypowanego i zasymilowanego inteligenta żydowskiego, który wyszedł z miasteczka, opuścił biedną żydowską prowincję. Wybrał wielkie polskie miasta, gdzie widział szansę na rozwój, karierę, przygodę intelektualną. Miasteczko stanowi jednak ważny element jego tożsamości i wciąż budzi emocje – bardzo intensywne i niejednorodne, na pozór sprzeczne.

Jak zauważyła Eugenia Prokop-Janiec, kolejne wiersze w tomiku składają się niejako na obraz wędrówki po miasteczku:

Wyłaniający się z tych wędrówek obraz przestrzeni jest palimpsestem, zbudowanym z dwu warstw przedstawieniowych, o kontrastowej waloryzacji estetycznej i emocjonalnej. Pierwsza z nich to pejzaż podległy estetyce wdzięku: bożniczki, cerkiewki, domki – starowinki, uliczki, kramiki rysujące się na tlegórek i rzeczeki. [...] Druga z warstw przedstawionego palimpsestu [...] podlega estetyce brzydoty: błoto, kurz, kałuże, zgniłe sztachety, pokraczna synagoga, nędzne drzewa, krzywe latarnie, zardzewiałe szyby.<sup>18</sup>

Od utworów, które można określić jako topograficzne, poeta przechodzi w swym zbiorze do wierszy o ludziach, do ludzkich dramatycznych portretów – wciąż pozostając w granicach i w atmosferze miasteczka. Wiersze takie jak *Ostatnie życzenie*, *Życie i śmierć Jonatana Grajka*, *Stara panna czy –*

<sup>18</sup> *Ibidem*, s. 223–224.

niewielki odmienny w charakterze – utwór *Wieczna miłość* to portrety pewnych typów ludzkich z małego żydowskiego miasteczka. Twórca każdemu z nich przydaje jednak poetyckiego blasku. Pomer uniezwykła bohaterów swoich wierszy, podobnie jak czyni to z samym miasteczkiem. Wiersze te ujawniają wrażliwość na los prostego człowieka, mającego swoje aspiracje, marzenia, które życie – czy raczej śmierć, jako nieodłączny element życia – przekreśla bezlitośnie. Zwróćmy uwagę na to, że w każdym przypadku chodzi o życie w perspektywie śmierci, a nie o życie po prostu; to śmierć jest dopełnieniem opowieści o życiu, determinuje ostateczny sens życia jako opowieści. Do nieuchronności śmierci odnosi się poeta niejako między wierszami, ale jest ona oczywista i uwydatnia beznadziejność marzeń.

Szczególnie zaskakujące jest *Ostatnie życzenie*, które w pewnym sensie narusza mit *jidysze mame*. Wizja poetycka przedstawia umierającą Żydówkę marzącą o normalności, o namiastce normalnego, zdrowego życia. Co znamienne, kobieta nie zadręcza się tym, że osieroci dzieci – marzy o małych przyjemnościach. Myśli o swoich pragnieniach w kategoriach ostatniego życzenia skazańca – być może dlatego są one tak małe i przyziemne. Mimo wszystko pozostają niemożliwe do spełnienia.

Powrót do rodzinnych stron to także spotkanie z rodzicami i krewnymi. Postacią pierwszoplanową jest matka, którą twórca postrzega w kategoriach magicznych. W wierszu *Moja matka* takimi właśnie słowami wyznaje jej miłość:

– – Dobra wróżko, zasnuta mgłą dziecięcych klechd,  
W zaczarowanym miasteczku, nad uśpionym stawem.



Miasteczko, staw i dzieciństwo – jasne stanowią tło,  
Na którym pogodna i jasna na zawsze w pamięci zostaniesz

Matka dysponuje czarodziejską mocą, to depozytariuszka idealnego obrazu swojego dziecka. Jej miłość leczy bolączki dorosłości, usuwa wszelkie brudy duszy, a bezwarunkowa akceptacja i wyrozumiałość pomagają dorosłemu już dziecku odnaleźć w sobie siłę, by być lepszym człowiekiem. Co istotne – matka pozostaje nierozzerwalnie związana z miasteczkiem i ucieleśnia to, co w nim najlepsze.

Ojciec – przywoływany w tej poezji już jako nieżyjący – także odgrywa rolę przewodnika duchowego, a jego grób stanowi dla poety punkt orientacyjny w chaosie świata<sup>19</sup>.

Wrażliwość poety na nędzę i niesprawiedliwość społeczną jest zauważalna w licznych i zróżnicowanych – jeśli chodzi o sposób obrazowania – wierszach. Są to obrazy nie tylko z ubogiego miasteczka, ale także z Warszawy. Niektóre spośród tych utworów stanowią ilustrację kryzysu ekonomicznego i mogą sprawiać wrażenie niepokojąco aktualnych (choćby *Lament galanteryjnego kupca* czy *Niedzielne popołudnie w alejach*). W tym drugim wierszu można wyraźnie dostrzec tendencje katastroficzne. Pisząc o stosunku poety do nędzarzy portretowanych na kartach jego wierszy, Eugenia Prokop-Janiec zauważyła „ton porażenia beznadziejnością nędzy”<sup>20</sup>. Pomer kilkakrotnie przeciwstawia tę nędzę własnej sytuacji i niejako upomina samego siebie, czasami

<sup>19</sup> Zob. S.J. Żurek, *Zastygłe w polszczyźnie. Szkice o świętach w poezji polsko-żydowskiej dwudziestolecia międzywojennego*, TN KUL, Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II, Lublin 2011, s. 168. O znaczeniu więzów między dziećmi a rodzicami w poezji polsko-żydowskiej, także w twórczości Pomer – zob. E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska...*, s. 169, 218–219.

<sup>20</sup> E. Prokop-Janiec, *Międzywojenna literatura polsko-żydowska...*, s. 224.



ironicznie, by nie zatracić się w „pięknoduchostwie”. Czyni tak chociażby w wierszu *Podwórko* (uderzająco podobnym do Tuwimowskiego *Żydka*):

Oni także i ja także, który z trudem się mozołę  
W moim małym pokoiku z oknem na podwórko;  
Tam ten grajek nieszczęsny na skrzypcach rzępoli,  
A ja tutaj, dźwięczne słówka układam przy biurku.

W poezji Pomerera nie brakuje jednak także jaśniejszych akcentów, nastrojowych wierszy, świadczących o poetyckiej umiejętności delectowania się chwilą – spotkaniem, ciekawą rozmową, herbatą lub muzyką płynącą z radia. To twórczość bardzo różnorodna w zakresie tonacji i tematyki. To właśnie w tych nastrojowych wierszach przede wszystkim można znaleźć echa fascynacji poezją Juliana Tuwima, choć właściwie są one dostrzegalne w całej niemalże twórczości Pomerera.

\*\*\*

Stefan Pomerer zginął, zniknął – wojna pochłonęła jego talent. Nie znamy jego wierszy z pierwszych lat wojennych, ostatnich w jego krótkim życiu. Poza garstką historyków literatury nikt nie pamięta o nim ani o jego przyjaciółach poetach, którzy tworzyli świat unicestwiony przez Zagładę. Nie wiemy, jaką pozycję zajęłby w polskiej lub żydowskiej historii literatury, gdyby nie wojna. Z pewnością został zniszczony istotny potencjał.

Dziś – po latach – możemy zagłębić się w tych urokliwych wierszach, odwiedzić anonimowe podolskie miasteczko,



chodzić po jego zaułkach, spotykać mieszkańców – dotykać minionej rzeczywistości i nastrojów, które dawno uleciały.

\*\*\*

Pojedyncze wiersze Pomera pojawiały się w publikacjach z lat dziewięćdziesiątych<sup>21</sup>. Szczególne zasługi w popularyzacji tej twórczości i całej międzywojennej poezji polsko-żydowskiej ma Eugenia Prokop-Janiec, autorka między innymi zbioru *Międzywojenna poezja polsko-żydowska* (Kraków 1996). Antologia ta zawiera także obszerny wybór tekstów Pomera. Utwory umieszczone w niniejszym tomiku w części *Z wierszy rozproszonych* przedrukowano z opracowania Prokop-Janiec (z wyjątkiem utworu *Jesienne konsolacje*).

Podstawowym kryterium wyboru tekstów do niniejszego wydania była ich wartość artystyczna. Dążono do jak najpełniejszego przedstawienia bogatej problematyki tej twórczości. Uwspółcześniono pisownię oraz usunięto oczywiste omyłki korektorskie; zachowano oryginalną interpunkcję.

21

<sup>21</sup> Zob. *Antologia polskiej literatury kresowej XX wieku*, wybór tekstów, wstęp i objaśnienia B. Hadaczek, Ottonianum, Szczecin 1995; *Żydzi w Polsce: antologia literacka*, opracował Henryk Markiewicz, Universitas, Kraków 1997.





Z tomu *Elegie podolskie* (1931)

## POWRÓT

Wracam do ciebie, miasteczko, w którym się zawarła  
Pamięć rzeczy minionych niezmiennym obliczem;  
Staję marzeniem w obrębie twych krzywych uliczek  
I rzewność chwyta bezwolna łzawym wzruszeniem za gardło.

Zakłęte źródło wspomnień strumieniem tryska wąskim  
I znów się odnajdują przeminione lata,  
Jak między kartkami dawno nieczytanej książki  
Bezwonne, kruche płatki zasuszonych kwiatów...

...Znów mi na płaskim wzgórzu, przy białej taśmie drogi  
Z dala widniejesz – objęte zieloną wstęgą drzew –  
Jak barwna ilustracja klasycznej eklogi,  
Na przekór rzeczywistości i brzydkiej prawdzie wbrew.

Bo z bliska – jesteś brzydkie, żydowskie miasteczko,  
We dnie – cuchnące nędzą, szarą, brudną, złą;  
W nocy – skrzące gwiazdami, co jak szabasowe świeczki  
Na twych spiczastych dachach płomykiem żółtym tłą.

Pod gwiazd tych gorzkim tchnieniem, wśród domków  
pochylonych  
Pętał się w smutkach cielących niesforny, dziki brzdąc.  
– Miasteczko lat chłopięcych, raj utracony.  
Czemuże dziś nie można po twym błocie brnąć!!



O, wzdłuż twych kramów, sklepików, z zaułka w zaułek,  
Po błocie, po grudach, kamieniach znowu przebiegać móc!  
Uroczną twoją brzydotę czuć w sercu, jak ostry szpikulec,  
Dawną odrazę do ciebie i dawną żarliwość czuć.

Znowu z książką Verne'go, nad rzeką pod starym klonem,  
Marzyć zachłannie o szczęściu: sławy, miłości i przygód –  
A potem wracać leniwie, ścieżką przez górkę do domu,  
Z sercem pełnym goryczy i rozpaczliwego krzyku.

Znowu, gdy senna niezmiennność, jak szary sypie się puder,  
Ujrzeć cię w skwarze południa i znienawidzić i przekląć –  
Ciebie – miasteczko podolskie! – żeś było jamą i złudą,  
Żeś było głuchym więzieniem i czarodziejską kolebką.

Dzisiaj chodzę po tobie w marzeniu: znów płonę i zlorzeczę,  
Kiedy cię – z pąków przeszłości, wspomnienie dostaje odsłania  
I cierpką pamięć o tobie, jak smak niedojrzałych porzeczek  
Przybliża boleśnie i słodko liryczne zapamiętanie.

O, brzydkie, złe i smutne gniazdo mej młodości,  
Jedyny, utracony, galicyjski raj!  
Twą nędzę i twą krasę w uroków tęczę spaja:  
Moc powrotnych tęsknot, dostała moc miłości.





## Cykl *Miasteczko*

### 1. ZAUŁEK

Po jednej stronie płot: niskie, zielone sztachety,  
Po drugiej zmurszały mur przy starościńskim ogrodzie;  
Przy murze rów zarosły trawą i po brzegach objęty  
Szerokim pierścieniem stokroci.  
Ciemno i cieniście szumią rozrosłe kasztany,  
Cienko brzęczą pszczoły, sennie grają świerszcze;  
Pachnie – mięta – podbiał – i rumianek –  
Jak urojone, nieziszczalne wiersze.

### 2. STUDNIA

25

W rozległym czworoboku domków – starowinek,  
Pochylonych, odrapanych, obrosłych mchem i skrzypem.  
Pluszcze przejrzyste źródło w wykruszonej cembrowinie  
Pod cienistą strażą rozłożystej lipy.  
W dzień jest to zwykła studnia, z której spaczonym wiadrem  
Czerpie się wodę, spływającą w błotnisty wodościek,  
Lecz w nocy na płynnej powierzchni lyskają gwiazdy poblądle,  
A woda ma smak zapomniany minionej, straconej młodości.

3.  
BOŻNICZKA

Wrosła w ziemię po gzymsy zakurzonych szyb,  
Pokryta spiczastym dachem z poczerniałej blachy,  
Tkwi w ciasnej uliczce, jak pokraczny grzyb  
Na wyschniętym placyku, w otoku zgniłych sztachet.  
Po dwu zapadłych stopniach schodzi się w ciemną głąb,  
Przystaje się przy drzwiach. Na dworze jest skwarnie i upalnie.  
Tu jest chłód i cień. Czuć pleśń. I melodyjnie brzmia  
Cienkie, dziecięce głosy, recytujące Talmud.

4.  
SZYNK

Z okna na piętrze gramofon zawodzi najczulej,  
Na ławce pod daszkiem balkonu drzemią emeryci:  
Cicha jasność słoneczna, jak firanka z tiulu  
Osłania senną i pustą ulicę.  
Popijając z grubego szkła, przy stole, w kącie zakurzonym,  
Słucha się, jak bzyka mucha, goniona przez pająka  
I jak ebonitowe gardło gramofonu  
Rzeczy rzewnie – – Och! Ach ! – – *Tango milonga.*

5.  
ROZSTAJE

Pod górką, naprzeciw trzech okien plebanii  
Jest uliczka błotnista – wyboista – stroma –  
Mizerackie kikuty wierzb i osin na niej  
Sterczą rzędami dwoma.  
Potem jest rozstaje: krzywy cień drogowskazu  
Wyziera spod drzew, oblatanych próchniejącym płotem  
I na otwartym, płaskim krajobrazie  
Czerni się pręgą tęsknoty.

6.  
WÓLKA

27

Idzie się drogą koło cmentarza i aż do zakrętu szosą  
I już jest Wólka. Już słyhać hurkot młyna;  
Po zagrodach szczekają psy. Na sterzących dyszlach wozów  
Siedzą kury z zamkniętymi oczyma.  
Na trawie bieli się płótno. Pod mostem szemrze rzeczka.  
Brudny brzdąc z palcem w nosie oczy wybałusza.  
Szybko zapada zmierzch. Wraca się do miasteczka  
Z samotnym sercem i goryczą w ustach.

## OSTATNIE ŻYCZENIE

W nocy już spać nie może. Nad ranem, gdy z koszami  
Mąż idzie do piekarza, zapada w półsen mglisty.  
Lecz niby śpi, a słyszy wszystko: jak mąż otwiera kramik,  
Jak krząta się, dzieci budzi i zamiata izbę.  
Potem uliczne pogwary. Turkot fur na gościńcu.  
Obrzydły zapach kawy. Stłumiony szloch i wrzaski.  
– Pewnie Lea chleb kraje, a Aronek Mińci  
Znowu wydziera niebieski garnuszek z obrazkiem.  
Oczy ściskają bezwładne – ciężkie – gorące – powieki –  
Zimny pot na plecach. Kłujący żar w płucach.  
Głowa cięży – nogi ciężą – wargi pieką –  
– Leży stężała, bezwolna, jak na nic zdatna onuca.  
Leży bez sił i oddechu w dusznym alkierzu za sklepem,  
W lepkich z potu piernatach, w ciężkiej z gorączki zasłonie  
I czeka. Wie, że już nic nie pomoże. Że nie będzie już lepiej  
Czeka już tylko na a – – koniec...  
Lecz jeszcze lica jej pali ceglasty, gruźliczy rumieniec,  
Jeszcze mamlą błagalnie usta zwiotczałe i sine:  
– Zwól Panie Boże... Wszakże ostatnie życzenie  
Spełnia się nawet zbrodniarzom w ich przedśmiertnej  
godzinie.  
Raz jeden móc wino i piernik, przed obiadem, w sobotę,  
Szykować dla męża i patrzeć, czy jeszcze z bożnicy nie wraca;  
Potem w sukni jedwabnej i w nausznicach złotych  
Wyjść razem – przez główną ulicę – za miasto – na spacer. –

## STARA PANNA

Robótka. Kanarek w klatce. I kot mruczący pod piecem  
I jeszcze widok z okna przez bujną gąszcz doniczek –  
To wszystko. Bezczyenne na kolanach, zwiędłe ręce kobiece  
I szare skrawki myśli: martwe marzenia o niczem.  
Na wiosnę wracają jaskółki. W lecie jest kwiat lipowy.  
W jesieni pomidory. A w zimie ciastka z jabłkami i grypa.  
Mijają dni, jak haftowane ściegi – równe, jednakowe –  
Mżące zapachem lawendy po niskich pokoikach. –  
Ranki są na sprzątanie. Po obiedzie drzemka i spacer.  
Wieczorami przy lampie naftowej powieść z wypożyczalni,  
Lub cerowanie pończoch, lub drobny ściągów maczek  
Na jedwabnej szmateczce. Tak właśnie. Najzwyczajniej.  
Aż kiedyś posługaczka czy dziewczyna, co mleko przynosi  
Zastanie ją w łóżku martwą, z rękoma rozrzuconymi na  
koldrze.  
Zbiegną się sąsiedzi. Ktoś da znać komu trzeba. Ktoś się  
O kanarka zatroszczy. A potem dalecy krewni urządują cichy  
pogrzeb.

## ŻYCIE I ŚMIERĆ JONATANA GRAJKA

W kapeli tysego Nuchima grywał drugie skrzypce,  
Chudy, zgarbiony i siwy, milczący zawsze i obcy –  
Wycieruch i popychadło, z którego drwili wszyscy  
Nękali i gryźli, jak kundle opieszałą owcę.  
Wypelzłymi, starczymi oczami, które bolesny przestrach  
Płoszył i ścisnął ciężkimi zaworami powiek,  
Wyzierał spod palmy w kącie, gdzie nuchimowa orkiestra  
Rżnęła płacziwe litanie kadryłów – walców – i polek –  
Grał swoje „sekund” na wszystkich weselach i balach,  
Całą noc: dwa zmienne takty, wokoło i w kółko;  
Nad ranem przy bufecie, gdy opróżniła się sala,  
Wypijał halbę piwa i gryził półsennie bulkę.  
Potem przez puste ulice wraca do domu i ziewa.  
Przystaje i medytuje i liczy na palcach wychudłych:  
Tyle żonie „na szabas”... a tyle na czynsz i drzewo...  
Rozważa i człapie po błocie, a skrzypce brzęczą w pudle.  
A w domu kłótliva żona w betach małżeńskich chrapie  
I zgraja żarłocznych bachorów, którym nie można nastarczyć;  
Zatęchła nora piwniczna, gnijąca pleśnią utrapień,  
Ziejąca brudem i nędzą i wieczną troską o żarcie.  
Taki był ciężki i gorzki żywot starego Jojny,  
Smutny i jednostajny i pełen zgrzytliwej udręki,  
Jak tony z jego skrzypiec skrzekliwych i niestrojnych,  
Jak jego wtór upiorny do weselnej piosenki.  
Lecz za to – śmierć miał lekką, dobrą i łaskawą;  
Gdy dwa swe zmienne takty wokoło i w kółko,  
Wygrywał raz na jakiejś galowej zabawie,  
Nagle opuścił smyczek i – – urwał w pół mazurka.

## MIŁOŚĆ WIECZNA

Dawidek był subiektem w sklepie z galanterią.  
Umiał wytwornie się szastać, krygować i zwijać za ladą;  
Przy tym spokojny, rozumny, chłopak do rzeczy i serio:  
– – Chudy, rudy, piegowaty, z włosami lśnącymi pomadą.  
Wcześniej opuścił czeluście rodzinnych suteryn;  
Najpierw w sklepie korzennym, na rynku, w narożnym gmachu  
Był chłopcem do posług. Potem przez rok u fryzjera  
Zamiatął razurę. Potem został kelnerem. Tak. Różnych próbował  
fachów.

Aż wreszcie po latach bolesnych zawodów, prób i doświadczeń  
Znalazł w galanterii zarobek dostatni i pewny;  
Umyślił się tedy ożenić i był już sobie upatrzył  
Pewną przystojną dziewczynę, jakąś daleką swą krewną.  
Wybranką Dawidka była szczupła, smukła blondyna,  
Mira miała na imię. Sierota. Stworzenie pocziwie i dobre;  
Chodzili razem na spacer. Czasem w sobotę do kina,  
Składali wspólnie pieniądze. I – rychło już mieli się pobrać.  
Kochali się bardzo. – Na wiosnę – (właśnie wiosna nastąpiła) –  
Skończywszy zajęcia wieczorem chodzili aleją lipową,  
W milczeniu wążąc swe szczęście. A czasem szepcząc  
nieśmiało

Pełne pokornej czułości, proste, niezdarne słowa.  
Lecz raz, wyszedłszy ze sklepu – (pewnego wieczoru w maju) –  
Nie mógł Dawidek, jak zwykle, pójść z narzeczoną na spacer;  
Mira zachorowała. Leżała, płonąc w gorączce. A nazajutrz – –  
Umarła. Dawidek płakał, jak dziecko i strasznie rozpaczał.  
Nie można go było oderwać od zwłok na podłodze,  
Leżących nogami do drzwi w śmiertelnych rańtachach,

Całował trupa po twarzy, na przemian klął i zawodził  
I charczał straszliwe pieśczęoty umarłej do ucha.  
Potem ucichł. I tylko wzrokiem, co wstrząsał i mierzył,  
Wzrokiem szaleństwa i grozy wodził uparcie za trumną,  
Gdy wśród przeciągłych okrzyków: „jałmużna wyzwała od  
śmierci”

Przesuwał się pogrzeb mosteczkiem ponurą, rozpierzchlą  
kolumną.

A kiedy nad grobem otwartym chazen odśpiewał modlitwę,  
A grabarze czerepy kładli na oczy umarłej,  
– – Wśród przerażenia obecnych – Dawidek wydobyl brzytwę  
I poderznął sobie gardło.

Teraz Dawidek i Mira leżą na starym kirkucie,  
W zapadłych mogiłkach bez steli, porosłych bujną darnią,  
Łańcuchem wiecznej miłości, w nicości ze sobą skuci,  
Żyją w ludzkiej pamięci rzewną legendą cmentarną.



## MOJA MATKA

Patrzę na ciebie – – matczko – – przez najrzewniejsze lzy  
I twarz twoją w moim sercu miłość trwale rzeźbi;  
Zostałaś mi w szarej wodzie zatroskanych dni,  
Jako rybka złota w poniku wśród wierzb.  
Wspomnienie twoje przynosi ufną prostotę słów,  
Przywraca naiwną pogodę i dawną zwykłość uczuć;  
Ty jedna me serce, zawarte w grzesznej słabości i w złu  
Otworzysz łzą matczyną, uśmiechów jasnych kluczem,  
Ty jedna przyjmiesz mój każdy upadek i grzech,  
Ty jedna wiernie czekasz z miłością łaskawą – –  
– – Dobra wróżko, zasnuta mgłą dziecięcych klechd,  
W zaczarowanym miasteczku, nad uśpionym stawem.  
Miasteczko, staw i dzieciństwo – jasne stanowią tło,  
Na którym pogodna i jasna na zawsze w pamięci zostaniesz,  
Choć przecie urosłem, a ciebie, jak dojrzały kłos  
Lata ciężko schyliły na życia znojnym łanie.

Ty jesteś jedna i wieczna. Miłośnie nade mną trwasz.  
Widzę cię zawsze jednaką czułymi oczami zachwytu –  
Wiem: ręce masz spracowane, troski ci zmięły twarz,  
Oczy ci starość obwiodła gorzkim smutkiem dosytu.  
Lecz wciąż cię jasną i piękną widzę w glorii świec,  
Jak błogosławisz sobotę, dłońmi zakrywszy oblicze – –  
– – Nie można inaczej – mateńko – jak tylko po prostu rzec,  
Że bardzo tęsknię za tobą i że cię kocham nad życie.

## FESTYN STRAŻACKI

Oprzeć się o białe, rokokowe sztachety,  
Przy sadzawce pociemniałej, zasianej gwiazdami –  
I nie myśleć i zapomnieć, że potem, jak przedtem  
Będzie znowu, jak było, będzie zawsze tak samo.

Niechże się na skrzypcach strażackiej orkiestry  
Czulą łzawe aryjki i muzykancko tkliwią;  
Można się w tym zatracić, można się przemóc zresztą  
I nie czuć się obcym i smutnym, ale właśnie szczęśliwym.

Tak się zasluchać, zagapić... Lub też usiąść na ławce,  
Patrzeć w twoje oczy i... znowuż zatracić świadomość,  
Że wszystko jest bez znaczenia, skoro na próżno, a zawsze  
Będzie się pragnąć miłości, szczęścia, ojczyzny i domu.

I mówić można po prostu i ukryć w prostych słowach  
Ostatnią nadzieję serca, a udać rezygnację. –  
(– Byle się tylko twojej twarzy jasny i czysty owal  
Nie ściemnił uśmiechem bezradnej, bezsilnej rozpaczyl!)

Takie jest szczęście. Pachną goździki. Szumi nad nami kasztan.  
Księżyc wysoko po niebie płynie zielony i duży;  
Wziąć palce twoje w dłonie, jak pierzchliwego ptaszka  
I tę chwilę niepamięci przeciągnąć i przedłużyć.

Aż zmąci się parny i zmysłowy pejzaż. Niespodziewanie  
Pogmatwa się wszystko cudacznie, wywinie na opak;  
Księżyc zajdzie za chmurę, a pod rozkwitłym kasztanem  
Weźmie cię drżącą w ramiona zakochany chłopak.

## CHWILA

Przez drzwi otwartej cukierni płynie w strudze świetlistej  
Zapach deszczu i mokrych na chodniku światel;  
– Wszystko jest jasne i proste. Jak nagłówkiem listu  
Zaczyna się arkusz rozczuleń pachnącym słowem: kwiaty.

Puszystą murawę na skwerze ciepły wiatr przewiewa  
I przymilnie muska włosy i rozmarza i podnieca;  
– Po złudę ręce wyciągam. Serce się rwie i zamiera,  
Ilekc trysną z ulicy głosy i śmiechy kobiece.

Próżne pudełko zapalek leży na środku chodnika,  
Drzewa ciężkie od rosy zielono pod wonną mżą strzechą;  
– Nic się już nie odmieni. Jak cień, co płochliwie przemyka  
Wydłuża się zasięg tej chwili światel, kwiatów i śmiechów.

## BUKOLICZNY KSIĘŻYC

Gwiazdy się gęsto po niebie usiały,  
Jak pole kwitnących koniczyn;  
Odbite w stawie są różowo-białe,  
Płynne i tajemnicze.

Szeleszczące czuby osin  
Kołyszą się, jak hamak;  
Wiatr sponad łąk zanoszą  
Ciepłą wonią skoszonego siana.

Mgła osnuwa sitowie i łozy,  
Fantastycznie wiję się po łące;  
Żabi chór już kończy capricioso  
Swoją grzechotliwy koncert.

Zasypia staw w kołysce mroku,  
Cichnie nawet szmerna szuwar –  
I tylko na niebie, na niebie wysokim  
Bukoliczny księżyc czuwa.

## TO TY?

*Neli Gajslerówniej*

Na otwartą książkę zleciał uwiędły liść lipowy.  
Zmierzcha. Wieczór jest gorący i czysty, jak lzy;  
Smutna pani w koronkowym szalu odwróciła głowę,  
Uśmiecha się. I woła mnie po imieniu: to ty?

Na czarny ekran nieba drżące gwiazdy wschodzą.  
Ktoś gra na mandolinie sentymentalne tango;  
Siądźmy razem. Słuchaj! Drzewa szumią w ogrodzie  
I woda w starej studni szemrze bez ustanku.

– – To ty?, szeleszczą liście. – – Zostań! jestem sam.  
Tak bardzo cię chciałem zapomnieć, a przyszłaś znowu.  
Uśmiechasz się leciutko ze złoconych ram  
I kruszysz smukłymi palcami uwiędły liść lipowy.

37

Szczęście jest, jak szmer owadów, lub jak kwitnące kosańce.  
Nie wierz słowom. Smutek cię oszukał. Ty jesteś dobra;  
Patrzysz spod firanki rzęs i uśmiechasz się... czy płaczesz?  
Czy jesteś tylko snem, zaklętym w stary obraz?

## PODWIECZOREK

Samowar mruczy i brzęczy;  
Jak w bajce, lub jak we śnie  
Filiżanka rozkwita na ręce  
Białym kwiatem czereśni.

Łyzeczka srebrną melodią  
W bromowym płynie klekoce;  
Mokrymi liśćmi i miodem  
Pachną w talerzu owoce.

Na stole – dziergana serweta,  
Od sieci pajęczej zwiewniejsza;  
Z zalotnej, różowej tapety  
Uśmiecha się gejsza.

Lampa przez mleczny abażur  
Rozpyła, jak perfumę  
Łagodnie światło marzeń,  
Zamyśleń i zadumy.

I tyka zegar ścienny,  
Melancholijny flegmatyk –  
Jest sennie, zacisznie, jesienne...  
– – Napijmy się herbaty!

## LIST

Na głuchej prowincji, o północy, przy naftowej lampie,  
Gdy wczesnojesienny wiatr w ogrodzie szumi  
I księżyc świeci w oknie, jak bladezielony wampir –  
– – Piszę do ciebie w męce i nazwać ciebie nie umiem.

Twe imię, jak zapach opły, jak niepokojąca nuta  
Ulata nieodgadnione. Wiatr nim w liściach szeleści;  
Tamtego roku w jesieni, a przed dwoma laty w lutym  
Widziałem cię jeszcze.

A teraz nie wiem, gdzie jesteś i nie znam twego imienia;  
Zgubiłem cię. (Pierzchno ulotne szczęście, jak ptak w lesie)  
Teraz już wszystko strawne i nic się już nie odmieni.  
Jestem sam. I bezradny. Nadchodzi jesień. –

## DESZCZ PADA

Zachmurzone niebo nad miasteczkiem wisi,  
Jak ołowiany koszmar;  
Taki dzień, jak dzisiaj,  
Gdy deszcz pada i wyjść nie można  
Z domu – –  
Jest, jak powieść z wypożyczalni,  
Której brak drugiego tomu.  
Zapala się papierosa i patrzy melancholijnie  
Na dym, jak wije się pod sufit.  
Deszcz siąpi. Pluszczą rynny.  
Myśli się sentymentalnie i głupio  
O czymś, co być nie może, co się już nie odstanie,  
Co minęło na zawsze, na próżno i na nic.



## IMIĘ

Dziś w nocy wypadł śnieg. Już zima.  
Wygląda się oknem bezmyślnie: śnieg – śnieg  
I pisze się paznokciem czyjeś imię  
Na zachuchanym szkle.  
Napisze się i zetrze. Ot głupstwo. No nie?  
Lecz wciąż, lecz wciąż na szybie,  
Maże się to imię  
I szepce się bezradnie: śnieg – śnieg. –

## Z OKNA

Dwie tłuste wrony wydziobują okruszyny,  
Wysypane dla wróbli na desce w ogrodzie;  
Zegar ratuszowy wybija jakąś godzinę,  
Śnieg pada. Ulica jest pusta. Nikt nie przechodzi.

Można wszystkich przechodniów wyliczyć na palcach;  
Stara nauczycielka pod parasolem w śmiesznej mantyli,  
Chłop z kobiąką pod pachą. Dwa chyzonogie malce  
Służąca z naprzeciw do sklepiu po cukier. I tyle.

Śnieg pada, jak białe widmo. Stoi się przy oknie  
I rozważa zawile i ciemno ten normalny wypadek,  
Tę zwykłą rzecz codzienną: że smutno i samotnie.  
Że ciężko. Że źle. I że nie ma na to rady.

## RADIO

A wieczorem – – w kącie kawiarni, pod plakatem  
„Lwowskich Browarów“, słucha się radia. Gra się w karty.  
I gdy z radiowego głośnika tryskają głosy świata,  
Przychodzą senne myśli o tym, że... myśleć nie warto.

Więc tylko od śmiesznej tęsknoty serce się wydyma,  
Gdy zapowiada śpiewne cuda złotousty spiker;  
– – Mija felieton. Komunikaty. Odczyt o religii Rzymian,  
Aż słodko zabeczy saksofon. Wtedy się oczy przemyka.

I słucha się. Na dworze śnieg pada. Krzywe latarnie  
Stoją na rogach uliczek. I skrzypią szyldy zardzewiałe.  
Miasteczko śpi. A w gwarным ciepłe zadymionej kawiarni  
Jazgocze tęskliwie z głośnika „muzyka lekka z Warszawy”.

## ŻEGLARZ

Śnieg pada, jak biała modlitwa, jak cicha nabożna łaska.  
Zegar tyka sennie i w żyłach krew leniwie krąży. Czytam przy  
stole  
Książkę o morzu i okrętach. O palmach. O wyspach. Na  
obrazku  
Tytułowym żarzy się rozświetlone niebo nad koralowym  
atolem.

\*\*\*

A podnieść głowę znad książki, to za oknem drzewa ośnieżone  
Sterczą przy uśpionej uliczce małego miasteczka. I śnieg pada.  
I ktoś z rzadka przejdzie mimo sztachet, na których siedzą  
wrony,  
Czarne, tłuste, rajcujące o swych ważkich i zawilych sprawach.

\*\*\*

Więc myśli bezradne wracają do książki o morzu i słońcu  
południowym;  
W srebrnych rzekach i zatokach głbiących pluskają tropikalne  
księżyce,  
Grzmią wrzaskliwe bębny do murzyńskiego tańca. Na  
werandzie bungalowu  
Pod siatką na moskity palą w milczeniu fajkę, dwaj samotni  
Anglicy.

\*\*\*

Jak zapach delikatny uluda egzotyczna osnuwa i owiewa  
Senną, gorzką mą samotność, w małym mieście, w zimie na  
Podolu.  
Płynę, jak żeglarz oceaniczny przez szary skłon niskiego nieba  
I mocną, sprawną ręką rozpręzam ściśnięty w piersi supel  
bołu.

## CIEŃ SZTACHET

Nagrzane słońcem, uliczki pachną leniwie fiołkami,  
Jak obnażone ciało kobiece zroszone potem rozkoszy;  
Z otwartych okien, jak z obrazu o szerokiej ramie  
Wyglądają smutni starcy, stare panny czeszą rzadkie włosy.

Po rynku wokoło studni z figurą i suchotniczym skwerem  
Uganiają zziajane bachory – bose, w kuszach porciętach –  
Drzewa rozkwitają. Wiatr ssie błoto, jak cukierek,  
Gdzieś ktoś gra na fortepianie coś, co z dawna znam, pamiętam.

Ach to dawno! Żalościwie znów powraca, jak natrętny refren,  
Jak pieszczoła kochanki wzgardzonej, a wiernej – –  
Gdy noc zapadnie księżyc smutny i śmieszny, jak Charlie

Chaplin

Chodzić będzie po uliczkach i do reszty miasteczko rozrzewni.

A już teraz czyjeś włosy, jakaś suknia pachnie wspomnieniami,  
Pamiętasz? Szliśmy tak razem na wiosnę. Mżył deszczyk.  
I znów jest wiosna. Nedorzeczne jest szczęście i ciężkie jak  
kamień.  
Jak kamień rzucony w wodę. Pamiętasz? Pamiętasz jeszcze?

A tam ta – poręcz na moście, nad rzeczką belkotliwą  
I ta ścieżka przez łąkę wśród rozkwitających wiklin –  
Szliśmy tędy. Na skręcie pod wiaduktem gwizd lokomotywy.  
Wiosna. Miłość. Szczęście. Tak. Tak. Ale to już minęło. Znikło.

Jakby pijany muzykant pomieszał wszystkie melodie,  
W wyzwolonych akordach płyną i grają zapachy;  
Pachnie muzycznie twoje imię. I wiatr wiosenny wieje przez  
ogrody  
I po chodniku skośnie bieży cień ząbkowanych sztachel.

## O WIOŚNIE

Zastawiłem, u lichwiarza mój zegarek srebrny,  
Bo po cóż mierzyć czas? I tak gromadzi mi się  
W szufladach dni – uprzykrzony, niepotrzebny –  
Jak moje niewydane, beznadziejne rękopisy.

Zaiste! to jest bez znaczenia. Wczoraj. Jutro. I co dnia –  
Jest tak samo ciężko i głupio. Tak samo zawsze i stale.  
Chodzę więc nieogolony, w nieodprasowanych spodniach,  
Jest mi już wszystko jedno! Zły los się ze mną spoufalił.

O, złota szpilko do krawata! O, welurowy kapeluszu!  
Spaliła mi praczka żelazkiem ostatnią z dobrych koszul:  
Skradziono mi ostatnie szczęście. Mam rozdartą duszę  
I podarte buciki, a tego – – najbardziej nie znoszę.

Po pryncypalnej ulicy, od magistratu do willi aptekarza  
Spacerują dziewczynki w sukienkach bez rękawów;  
Wiosna! Ruja smukłych nóg, wabnych uśmiechów i twarzy,  
Słońca, kobiet, zapachów i jaskółek, szybujących nad stawem.

Tak. Ale co to mnie obchodzi? Obcy i bezradny  
Płacę się po miasteczku chyłkiem i żałośnie,  
Albo siadam przy oknie i piszę gorzko i nieskładnie  
Wiersz o wiośnie. – –



## TO ZOSTANIE

*Henryce H.*

Zostanie sens niewyraźalny upalnego południa w parku,  
Gazon z kwitnącym ostromleczem, na którym pszczoły  
Brzęczały, jak mozartowskie scherzo. I warkocz brzoźowy  
Zielony, słowiczy i wiotki i zwisający pachnąco nad ławką.

Zostanie do kwiecia bżowego, jak pocałunek przywarta wążka  
I słoneczna sieć liściana o okach w kształcie serca –  
I wciąż powracający pobrzęk pszczeli: główny motyw scherza  
I melodyjny chrzęst obcasów w mialkim i sypkim piasku.

Zostanie w rozgrzanym powietrzu rozpierzchle, zagubione  
echo,  
Pod tą brzożą, na tej ławce, na tym kwitnącym ostromleczu,  
Echo słów niedomówionych, niedosnutych domysłów i  
przeczuć,  
Zapach gorzkiego milczenia i cień aż do śmierci smutnego  
uśmiechu.

A reszta, a wszystko inne, to ważne i to istotne, to – proszę  
pani –  
Przeminie. Przeminie i nie będzie. Bywa tak ponoć zawsze.  
I tylko cienie, tylko echa, tylko ślady na piasku przy ławce,  
Tylko zapach spełnień niepowrotnych i żal... To zostanie.

## TEATRUM KSIĘŻYCOWE

Oto się iści teatrum, czuła się gra pantomina!  
Księżyc, jak pasterz w sielance ukląkł na zgiętym promieniu  
I serenadę gwieździstą świetliście zawodzić zaczyna,  
Na scenie rozległej niebiosom, ponad obłocznym proscenium.

A księżycową kochanką jest cicha w miasteczku uliczka,  
Śpiąca w sadów wiśniowych białoróżej koszuli;  
Drzew włosy kwieciste zaplata i do pachnącego policzka  
Obraz miłosny księżycy namiętnie przygarnia i tuli.

Zaś księżyc, frant zakochany, melancholijny i łysy  
Różami meteorów obrzuca kochanki swej łono – –  
I śpiewa rosą rześistą klarowne rondo ciszy,  
Przydzwania muzycznie do wtóru na słodkiej lutni Oriona.

Uliczka znowuż wpółsenie tuli do piersi kamienic,  
Opiętych w gorset nocy, jedwabnie szelestny i miękki –  
Czułego, bladego kochanka, co gwieźdnym kusi ją pieniem  
I serce jej smętnie napawa tęsknotą, jasnością i lękiem.

Noc całą się iści teatrum, do rana się gra pantomima,  
Aż z wolna na igry ponocne słoneczna zapada płyta,  
Aż histrioństwo księżycy dzienna zakrywa kurtyna  
I – – „la comoedia finita”!

## Z WIERSZY ROZPROSZONYCH

### ZIEMIA ŚWIĘTA

Jakież cię kraju zamorski, słoneczne wybrzeże legendy,  
Jakież cię słowa odnajdą, najchyższe słowa – okręty?  
Obcą, północną gwarą, miękkim, słowiańskim słowem,  
Jakże cię ziemio proroków złotoustych wypowiem?

W kajucie wiślanej nawy, pachnącej klonowym drzewem,  
Na nutę prastarych antyfon śpiewano mi kołysanki –  
W nich znad łęgów twych kwietnych, wiatr wiał pieściwym  
powiewem,  
I klonową kołyskę zamieniał w wietrzny palankin.

A teraz po morzach dalekich, martwy gryząc horyzont  
Płynę tym wierszem do ciebie, rozbitek na kruchej łodzi.  
Dni moje słone od trudów, a noce gorzkie od zgryzot,  
Pamięć o tobie uludną nadzieją poi i słodzi.

A teraz daremnie nasycam wonią fiołków i mięty  
Słowa moje ubogie, skłócone rytmicznym poszumem –  
Śpiewać ciebie nie mogę, nazwać ciebie nie umiem.  
– Ziemio Święta!

*„Nowy Dziennik”, 1929, nr 167*

## JESIENNE KONSOLACJE

I

Rozwiewa mi włosy wiatr przedjesienny  
Chłodny jak twoje policzki.  
Chodzę rozmarzony przez ciche uliczki  
Rodzinnego miasteczka nade mną  
Po niebie wysokim i sinym  
Obłoki blade płyną.

Ogrody są już pełne zwiędłej hyczki  
I badyli zasnutych pajęczyną,  
Dojrzałe brązowe kasztany  
Spadają na twarde udeptane  
Kilimy wzdłuż parkanów  
Na zacisznych werandach  
Dworków zarosłych dzikim winem  
Kwitną różowe i słodkie jak andrut  
Oleandry.

A ja chodzę odurzony słodkim czadem  
Przedjesiennej melancholii,  
Której zakłąć nie można wierszami,  
Na którą nie ma rady.  
Nade mną płyną powoli  
Obłoki na niebie  
Z sadów pachnie dojrzałymi jabłkami,  
A ja chodzę i rozważam i układam  
List do Ciebie, –

II

Chodzisz w nocy, przy księżycu: myślisz o mnie,  
Chodzisz sobie, tęsknisz za mną. Marzysz smętnie;  
Wiatr przywiewa Ci na usta pocałunki wspomnień  
I przynosi pobrzęk świerszczy i bladą woń mięty.  
Chodzisz... chodzisz... Aż na moście stajesz przy poręczy.  
Szumi Prut pod ścianą z Świerków. Księżyc lśni nad

Jawornikiem.

Stoisz. Słuchasz jak psy wyją do księżycyca. Załamujesz ręce  
I łzy ciekną, łzy dławiące milcząco polykasz.  
Nie płacz – miła! Nie płacz – słodka, niewinna sarenko!  
Nie przyzywaj marzenia o minionych, nieziszczonych czasach;  
Nie odwrócisz przeszłości i nie uciekniesz w marzeniu przed

męką,

53

Życie przez nas przepływa, jak ten strumień szumiący po  
głazach.

I nie zostaje nic... Nic prócz tej wyjącej, księżycowej melancholii  
I jałowego żalu! Pomyśl... popatrz... w bezmyślnej ułudzie  
Chodziliśmy razem tędy, naiwnie szczęśliwi. Teraz serce boli  
Ale nie płacz. Wszystko mija. Mija, spływa... jak ta woda w  
Prucie.

„Chwila” 1931, nr 4492

## PESACH NĘDZARZY

Oto chleb nędzy, który ojcowie nasi spożywali w Egipcie.  
Kto głodny, niech wejdzie i spożywa wraz z nami.

*Hagada*

W wymiecionych kątach, w ciemnej suterynie,  
W izdebkach, w oficynach, po lochach i norach,  
Ciepłą, pogodną jasność i zbożny blask uczynią  
Płomyczki wątłych świeczek w mosiężnych menorach.

Siwy dziadek lachmaniarz zbierze garść okruszyn  
I pod blatem kuchennym uroczyście je spali,  
A stare, zwiędłe kobiety zakryją stół obrusem,  
Biało upraną szmatką, sztywną od krochmalu.

I będą dreptać po izbie w czystych fartuchach,  
I na stole ustawiać wyszczerbione kieliszki,  
Układać na talerzu praśniki cienkie i kruche,  
Gorzkie zioła, nać pietruszki i chrzanową hyczkę.

Wdzieje odświętny chałat krępy, skulony tragarz,  
Ukryje ręce stwardniałe, opuchłe i zdarte –  
I mamląc święte słowa z pokorną powagą,  
Będzie starej hagady przewracał zżółkłe karty.

A jakiś smutny melamed czy wynędzniały krawiec  
Czterykroć pobłogosławi słodki kis z rodzynek –  
I wsparty na lewej ręce będzie się uśmiechał łzawo,  
Gdy mu „cztery pytania” zada najmłodszy synek.

I będą głosiki dziecięce cienko i śpiewnie brzęczały:  
– „Czemu ta noc jest inna od wszystkich nocy w roku?”  
Ale w dźwięcznych wersetach odwiecznego rytuału  
Zabrzmi zamiast triumfu – męka i ból, i niepokój.

Rozjęczy się wszystka ta bieda, ta nędza codzienna i zwykła,  
Którą z kątów spłoszyły świąteczne świeczek płomyki  
I radość żalosalną pomiesza, i modły pobożne powikła,  
I w hymnie pochwalnym wybuchnie rozpaczliwym krzykiem.

*„Nowy Dziennik”, 1932, nr 110*

## NIEDZIELNE POPOŁUDNIE W ALEJACH

Z bruku krzyczą  
kamienie: przechodź  
C.K. Norwid

Z bruku wołają kamienie: przechodź! Bruk nudą zieje;  
Pół Warszawy bezrobotnych, psów i kobiet wyległo w aleje.  
Tyle nóg szurgających i drepcących, tyle jasnych sukien.  
Bruk i nogi. Wabi bruk. Lecz przechodź. Przechodź i nie szukaj.  
Trzeba nogi poderwać, gdy podeszwy się lepią na asfalcie  
I z nieba kapie upał, jak woda przez palce.  
Trzeba głowę podać niebu i przepłynąć, jak obłok,  
I oczy zmęczone ukoić w drzew kwitnących zieloności obłej.  
Lecz patrz! Na długich rzędach ławek siedzą bezrobotni.  
Więc rozczulaj się, poeto – ach wiosna! Wiosna i samotność!  
Ach, zadumy, perfumy! Kobiety i flety! Szumne, szumne ulice –  
Patrz – smukła pani prowadzi białego charta na smyczy!  
Lub posłuchaj... Auta mkną, pobekując, tramwaje brzęczą  
cienko  
I nagle krzyk, jak cios noża... To – krzyczą pawie w łazienkach.

*„Nasz Przegląd” 1932, nr 169*



## GRÓB MOJEGO OJCA

W dalekim miasteczku podolskim na starym kirkucie,  
Pod niską, zapadłą stelą jest grób Twój zapomniany;  
Patrz, ojcze, jak twemu synowi ciężko do ciebie powrócić,  
By przypaść do grobu twojego gorzkimi ustami.

Z daleka do ciebie idę przez wiatr i śnieżną zawieję,  
A przecież nad zimnym twym grobem nie znajdę ratunku ni  
rady;  
Ty jesteś martwym spokojem, tak jak martwą nadzieją  
Jest mój niewierny, za tobą odmawiany kadisz.

Leżysz spokojny i cichy, jak na śniegiem zawianym ściernisku  
Wiązeczka słomy spróchniałej. I tyle mi z ciebie zostało,  
Co mętnych wspomnień dzieciństwa, lez tych, które wyciska  
Moja bezradna, synowska moja jałowa żalność.

57

Nic nie zostało po tobie. Ni znaku żadnego, ni braku;  
Śpisz głęboko w ziemi wiecznym snem bezsensnym  
I tylko wiatr zawodzi nad twoim grobem kamiennym,  
I moje zmęczone serce przychodzi do ciebie płakać.

*„Chwila” 1932, nr 4637*

## NAUKA PŁACZU

Spadają ostatnie nadzieje, jak liście  
Z uwiędłego drzewa;  
Niech będzie! Niech już rzeczywiście  
Nie mam się czego spodziewać.

Nie umiem modlić się do Boga,  
Ani żałować zwiędłych uczuć;  
I płakać nie mogę –  
Ale się nauczę.

*„Chwila” 1932, nr 4684*

## WIERZBY

Nagie gałęzie tworzą na niebie zawily ornament,  
a niebo jest niebieskie, jak spelzła majolika;  
wiatr szeleści zwiędłym liściem pod wierzbami,  
schylonymi przejmująco wzdłuż brzegów strumyka.

Szmerze woda pod wierzbami – gęłbiąco – bełkotliwie  
A ponad nią wierzby, wierzby idą przygarbione  
w dal bolesną, w majolikową perspektywę,  
idą, nkną i maleją, jak lata minione.

Stań nad wodą i lata swe na wierzbach policz,  
swoje lata, zdarte z liści, zeschłe, nikle;  
nie klnij. Posłuchaj, co szumi woda. To tylko boli,  
to tylko serce kłamie. To tylko serce w rachunku się wikła.

## ELEGIA O MOICH PRAOJCACH

W melancholijnych karczmach, na dróg rozstajnych zbiegu,  
W zakurzonych alkierzach nad żółtą kartą gemary –  
Dni ich zamknięte w klatkach rytualnych reguł  
Grubym pyłem jałowym wiatry podolskie owiały.

W zapadłych miasteczkach, w kramach „mieszanych towarów”,  
W posępnych bożniczkach, przy błyskach mosiężnych lichtarzy  
Gorycz bezwolnej tęsknoty poila zatrutym odwarem  
łaknące usta ich godzin, gorące serca ich marzeń.

I były te dni ich i noce pełne zmierzchnego wstępu,  
Jak płaski bezbarwny pejzaż, na który patrzeć przywykli,  
Niezmiennie – na gwiazd guziki zapięty płaszcz firmamentu,  
Niezmiennie – błotnista rzeczka, pełznąca jak glista wśród  
wiklin.

W wiklinach wiatr szeleścił i w noce bezsenne straszyl,  
Rano zaś wierzbow przydrożnym włosy zmierzwione cesał  
A oni głosem chrapliwym wzywali przyjscia Mesjasza,  
Zmawiając codzienną modlitwę w pasiastych na głowie  
talesach.

Znad rzeki płynęły zapachy, jak wątle, dalekie odzewy,  
Niskie okienka karczmy zarastał bluszcz i powoje –  
I kwitły łąki nad rzeką w złotej słońca ulewie,  
Szerokie drogi podolskie bielily się w martwym spokoju.

A oni nad swymi księgami, jak nad rzeką schyleni,  
Nad czarną rzeką wieczności, w której pluszcze L e w i a t a n  
A kiedy głowę unieśli, to wołał wabik przestrzeni,  
Wołały drogi podolskie zamknięte kotwicą rogatek.

Te drogi wiodły w świat – w tajemnicze kraje i lądy,  
W których bujne miasta kwitnęły jak grzeszna Niniwa,  
Marzyli o nich w snach, czytali w księgach swych mądrych,  
Lecz usty pobożnymi odżegnywali się od nich żarliwie.

Więc w getcie swych marzeń zamknięci poza przestrzenią i  
czasem,  
W męce i nędzy kramarskiej, w pogoni za małym groszem,  
Między sakwą do modlitw a wódczanym szynkwasem –  
Spłynęło im życie, jak woda w gnoistej i grząskiej bajorze.

I tylko z etykiet na flaszkach poznali w kramnych swych budach  
Słowa tragiczne i śmieszne: Rzym – Paryż – Wiedeń – Bruksela –  
Nim legli w jarach podolskich na śpiących w słońcu kirkutach,  
Pod pompatycznym napisem na niskich, omszonych stelach.

„Opinia” 1933, nr 5

## ZŁOTA LIPA

Inna jest wiosna u nas w domu, na Podolu,  
Niż u was, w miejskich parkach gracowanych:  
Kwitnie bujna i szeroko rozpowita w szczerym polu  
Wonnym szumem kęp kąkolich w falujących łąkach.  
Na Podolu, sercu miłym, inna, inna szumi wiosna  
W białych sadach czereśniowych i dębowych gajach,  
W wschodnim wietrze, co owiewa topole wyniosłe,  
Gdy o brzasku nad łąkami lecą wrzaski czajek.  
A po łąkach onych złotych i zielonych od złocieni  
Cieknie strumień wśród murawy szklany i szemrzący:  
Posłuchaj przyjacielu, jak w szklanym strumieniu  
Klaszczą ciemne oczerety i włochate kłaczce.  
Rzeka szemrze po kamykach, a nad rzeką szuwar,  
A w szuwarze brzęk owadzi polata i śpiewa;  
W gąszczach, w pnączach oczeretów szczygieł gniazdo uwił,  
Wiotkie wiechy rokiciny bystry wiatr rozwiewa.  
O, rzeko wiosny podolskiej, rzeko Złotej Lipy,  
Wierzbami oplakana, jak w GODZINIE MYŚLI.  
Słyszę twój szum daleki, chociaż w uszach skrzypi  
Szeroki spław stołecznej, wolno mknącej Wisły.  
Więc tu z wami, w stolicy, chodzę nieradosny,  
Wspominając Podole... Jak szuwar przed burzą  
Drży serce moje z żalu, gdy wspomnę tamtą wiosnę  
I ciebie, złotą rzekę i podolską Muzę.

*„Nasz Przegląd” 1933, nr 162*

## LAMENT GALANTERYJNEGO KUPCA

Nie pomoże reklama, nie pomoże plaża ni granda,  
Z dnia na dzień jest tylko gorzej – zastój, kryzys i bieda;  
Ogromny afisz czerwony, jak skrwawiony bandaż  
Wisi nad moim szyldem: „Posezonowa wyprzedaż”.  
I cóż? Każdy dzień jest jak zblakły na słońcu towar  
Za oknem wystawowym. Świat można zmierzyć na ladzie  
Drewnianą, wytartą listewką z podziałką centymetrową,  
A szczęście zmieści się całe w blaszanym pudełku w szufladzie.  
Lecz pudełko na drobne pieniądze co dzień jest bardziej  
puste,  
Świat w wystawowej szybie ucieka i pierzcha jak obłok;  
A ja roję głupie plany i w bezsilnej złości ściskam usta,  
Ach! Czyż bezczynne narzekanie coś komuś kiedy pomogło?  
Między drzwiami a kątem z żelaznym piecykiem  
Jest pasaż myśli zawilych, mieszczących wszystkie problemy:  
W tekturowej piramidzie pudełek tysiąc par boksowych  
bucików  
Tworzy tysiąc różnych i sprzecznych filozoficznych systemów  
A przecież koniec wszelkiej filozofii to pozamykać sklepy,  
W galanterii jest zastój. Naprzeciw konkurent – sąsiad  
Umarł przed licytacją; komu jest teraz lepiej?  
Zza grobu jeszcze się ze mnie ten stary hultaj natrząsa.  
W gazetach dzisiaj znowu pełno tłustych alarmów,  
Wszędzie jest źle na świecie, a u nas jak zwykle najgorzej;  
Podatki nas zjadają – to wiadomo i to już trudno i darmo,  
I na to panie szanowny – nie pomoże ani święty Boże.  
Bo cóż? Wydatki są wielkie, a targu nie ma żadnego,  
Mijają dnie, że do mnie nie zajrzy pies z kulawą nogą;

A trzeba przecież żyć. Drobnostka! Bagatelny szczegół!  
Stokroć lepiej ode mnie ma się ten żebrak na rogu.  
Ja siedzę i na papierze firmowym z zamaszystych kleksów  
Kalkuluje dokładnie i ściśle, wyliczam zyski, procenty,  
Sumuję sumy zawrotne, uwzględniam podatki i weksle,  
I czekam, czekam, czekam – na klientów! klientów! klientów!

*„Nasz Przegląd” 1933, nr 169*



## WIERZBOWA FUJARKA

Dawnymi czasy – przyjacielu zapomniany i daleki,  
Czy pamiętasz? – brodziliśmy po platońsku, bosą stopą,  
W miałkim piasku, przepłynionym drobną falą sennej rzeki,  
W drżącym szumie trzciny i wikliny, w cieniu smukłych topól.  
Czy pamiętasz? Przejmująca woń wierzbowa nad tą wodą  
Nasycała chłopięce marzenia. W przybrzeżnej gęstwinie  
Szeleściło tajemniczo i świergotał wodny ptaszek zimorodek,  
Gdyś ty kijek wiklinowy opukał i cienką fujarkę ulinił.  
Rusalczane melodie podolskie grała wierzbowa fujarka,  
Ej, grałaż nam grała! A myśmy – pamiętasz, mój miły?  
W trawie siedzący, nad rzeką senliwą a wartką  
O wielkości i o sławie w marzeniach roili zawyłych.  
I cóż z marzeń? Lata zbiegły. Ściekła woda w rzece.  
Jej zarośla w czas upału wciąż tak samo użyczają cienia,  
A nas obu los rozrzucił po szerokim świecie,  
Jak rozrzuca nasza rzeka drobne fale po kamieniach.  
Lecz ja wciąż tamte czasy wspominam sekretnie  
I do dziś, gdy przymknę oczy, to mi się wydaje,  
Że widzę gąszcz wiklinową pod jasnym niebem letnim.  
I nad strugą zieloną kępki niezapominajek.  
Tak... do dziś. Któż zrozumie? Tobie – drogi – tobie wyznam,  
W wielkim mieście, wśród rojnych ulic i wśród pysznych  
parków  
Słyszę szum dalekiej rzeki, co przepływa podolską ojczyznę  
I twoją ze słodkiej wierzbiny ulinioną fujarkę.

## POŻEGNANIE MŁODOŚCI

*Danielowi Ihrowi*

Każdy dzień przyjacielu – każda godzina i chwila  
Jest żegnaniem młodości. Młodość w wierszach zmysłnych  
Ulatuje uroczym na płochych skrzydłach motyli –  
Ale w życiu grzęźnie w błocie i z dnia na dzień kiśnie.

Ach, wzloty i tęsknoty młodości mijają powoli,  
Co dzień trochę ubywa naiwnej wiary i nadziei;  
A ogłędnij się za siebie i lata swe minione policz,  
To ścielą się, jak zwiędłe liście w jesiennej alei.

– Zwiędłe liście szeleszczące, rozelana trawa żalu,  
Przebutwiała mierzwa wspomnień. – Tak wzdychamy;  
I odwróceni, rozławieni znów idziemy dalej  
W nową przyszłość niepojętą i nieznaną.

Tak. Odpływamy, jak rzeka sentymentalna  
W pustkę i nicość – w nadaremny szumie;  
I tylko głupio, niepotrzebnie żal nam  
Za tym, czego nikt z nas nie rozumie.

Tylko tęsknoty nasze wracają jak ptaki  
Do kraju młodości. Jak ptaki zbłąkane,  
Co w dal odleciały nieznany szlakiem,  
Czemuż wracają smutne? Nie wiedzą same.

*„Chwila” 1933, nr 4989*

## NAD RZEKAMI BABILONU

To nie rzeki Babilonu płyną mętnie w pustą dal,  
To wśród dolin wiślanych cieknie bystry strumień;  
Nad niskimi brzegami, pod siwymi wierzbami  
Siedzimy i patrzymy w odpływ drobnych fal,  
A wierzby nad nami szeleszczą i szumią.

To nie harfy kapłańskie na tych wierzbach wiszą,  
To nie grzeszny Babilon, ale polska ziemia;  
Wiatr powiewne listki trąca i dlatego drżą  
I szept czynią, które nasze czujne serca słyszą,  
Jakby w tym zwiędłym płaczu i pod wierzbą tą  
Siedział z twarzą zakrytą prorok Jeremiasz.

Lecz to nie prorok płacze, a wierzby płaczące  
Suchym szeptem zwiędłych liści żalność sączą;  
To my zasluchani, nad brzegiem siedzący  
W bezwolnej żalobie, jak w mroku złym,  
Czekamy zgięci od męki i troski –  
A wiatr nam w oczy wieje, jak dym,  
Nasz wieczny smutek żydowski.

*„Chwila” 1933, nr 5266*

## PODWÓRKO

Z okna widać smutne, warszawskie podwórko,  
Zamknięte i ponure, jak więzienie. Spoza murów  
Płynie tępy, głuchy, ciągły uliczny turkot;  
Pochylam się nad biurkiem i dalej skrzypię piórem.

Komuż jest potrzebny ten żaloszny trud mój,  
W którym składam słowa biedne w ład liryczny?  
Komu? Na podwórku posępnym i brudnym  
Rzępoli zawzięcie na skrzypcach grajek uliczny.

Na podwórku rośnie drzewko suchotnicze,  
Krzak nędznego bzu, ogrodzony sztachetkami;  
Tutaj dzieci wynędzniale bawią się i krzyczą  
I grajkowi wtórują wątłymi głosikami.

A wokoło sponad górnych pięter,  
Z wszystkich okien otwartych na przestrzał,  
Wyglądają szare twarze, zabiedzone i zmięte,  
Smutne twarze lokatorów smutnych mieszkań.

Martwym wzrokiem, nieruchomym, otępiałym,  
Na podwórko z nędznym drzewkiem wyglądają:  
Oni także, jak to drzewko zwyrodniale  
Nie zakwitną nigdy w żadnym maju.

Oni także i ja także, który z trudem się mozolę  
W moim małym pokoiku z oknem na podwórko;

Tam ten grajek nieszczęsny na skrzypcach rzępoli,  
A ja tutaj, dźwięczne słówka układam przy biurku.

*„Bluszcz” 1933, nr 29*

## SEN NOCY LETNIEJ

Pójdziemy miękką miedzą przez pachnący owies  
Pod las, co czarną klamrą zamyka widnokrag;  
Tam nikt nas nie dojrzy i nikt się nie dowie,  
Gdy podasz mi usta nieśmiałe, roześmiane i mokre.

Słuchaj! w trawie sennie grają świerszcze i cykady,  
Spoza wzgórza płynie ku nam głos pastuszej pieśni;  
Księżyc wschodzi i za naszym kroczy śladem,  
Uciekajmy, schowajmy się w cieniu gąszczy leśnej!

Las nas zieloną rozchwieją okryje, oszemrze, odurzy,  
I w głąb swą paprotną mrocznie przynęci –  
Gdy przez chrupiące igliwie i roje świecących muszek  
Wejdziemy weń cicho, na palcach, trzymając się mocno za ręce.

A gdy nas znowu odnajdzie księżyc, natrętny zazdrośnik,  
Już wtedy złączeni w szczęściu spełnionych obietnic,  
Na polanie smreczanej, omszałej, żywicznej i rośnej  
Śnić będziemy – sen srebrny, sen nocy letniej.

*„Bluszcz” 1933, nr 39*

## PRZYŚPIEW PURYMOWY

Bajka dzieciństwa. Małe miasteczko wesołe i głośne,  
W mroźny wieczór księżycowy wczesnego przedwiośnia.  
Jasne gwiazdki mrugają na niebie rozpiętym wysoko  
Ku dzieciom, co płaszczą nosy na szybach okien.

A miasteczko leży pod mrugającymi gwiazdami,  
Jak ogromny kołacz purymowy rodzynekami obetkany.  
Małe pokraczne domki różowo i złoto się jarzą  
Od świeczek płonących we wszystkich sobotnich lichtarzach.

Wśród domków, w ciasnych uliczkach – krzyki i wrzaski,  
To już chodzić zaczynają purymowe maski,  
Lecz w domu jest jeszcze cicho. W cichości sennej i błogiej  
Płoną świece w srebrnych lichtarzach i w piecu trzaska ogień.

Z kuchni pachnie miodem, makiem i orzechami,  
I chrupkim ciastem zlepionym w trójkątne hamany.  
Aż dziadek wraca z bożnicy, staje przy stole nakrytym  
I wysokim, śpiewnym głosem Księżę Estery czyta.

Dziadek czyta, a wszyscy są uroczyści. Tylko mama  
Uśmiecha się i mruga, żeby tupnąć przy słowie: Haman.  
A potem jest kolacja. Dużo tortów, makakig i wszystko!  
I wreszcie przychodzą maski i robią pośmiewisko.

Przychodzą cudacy i stoją i tknąć się nie dają nikomu,  
Jedni udają Arabów, drudzy Cyganów, ale wszyscy są znajomi.  
Rudy Josek, co co dzień przynosi nam mleko i jaja,  
Ma teraz białą brodę z waty i udaje Mordechaja.

Mendel syn rzeźnika jest Hamanem, a za królową Ester  
Przebrał się bardzo pięknie chłopiec od fryzjera.  
Och! Mendlu, srogi Hamanie, z kudłatą brodą po pas,  
Jakże cię trwożnie podziwiał wrażliwy, naiwny chłopak.

Na ciepłych matki kolanach zachwycony i senny,  
Słuchał waszych nieskładnych wrzaskliwych piosenek.  
A ty i król Ahaswer śpiewaliście śpiewki swoje.  
Gwiazdy kapąły z nieba przez okno do pokoju.

I wśród tej śpiewnej, radosnej, gwiazdami kapiącej nocy  
Sen zamykał przemocą zachwycone dziecięce oczy.

*„Nasz Przegląd” 1934, nr 63*



## BÓG WĘDRUJE PRZEZ ŚWIAT

W słoneczne dni na początku jesieni  
Bóg wędruje przez świat –  
Słyszycie jak rąbek jego szat  
Szeleszcząc spływa ku ziemi?

Biały obłok na miasto stroskane  
Jak gołąb skrzydlaty spadł –  
Wśród więdnących na skwerach kasztanów  
Bóg wędruje przez świat.

Wśród tłumnych i szumnych ulic,  
Wśród aut i tramwajów stad  
Zalega świętość i czułość –  
Bóg wędruje przez świat.

I nagle wiemy, że nad nami  
Jest wyższy porządek i ład –  
Bo po mieście zgiełkliwymi ulicami  
Bóg wędruje przez świat.

Jego Imię szepcą zwiędłe liście  
I śpiewa je jesienny wiatr  
Wznieście serca i dusze oczyśćcie  
Bóg wędruje przez świat.

*„Nasz Przegląd” 1934, nr 84*



# ECCLESIASTICA

## I. NOC MAJOWA


Pali się noc majowa jak wonne kadzidło,  
Gwiazdy ciekną z nieba i księżyc jak okręt  
Płynie nad drzewami, co drżą ciężkie i mokre,  
Ileć wiatr je trąci lekkim skrzydłem.  
Słysząc bliski szum rzeki i huk daleki miasta,  
Patrząc z okna samotny w noc majową jak w grób  
I pachnie wspomnieniami dalekimi kasztan,  
I księżyc po kasztanie spływa mi do stóp.



## 2. O ŚMIERCI I SAMOTNOŚCI



Jakże długie są ulice, kiedy po chodnikach  
Chodzi się bez celu i samopas kroczy,  
A tylko za towarzysza ma się i za przewodnika  
Swoje zmęczone, obojętne oczy.  
To nieprawda, że można zagubić się w tłumie!  
Późną nocą nad Wisłą, na wyniosłym moście  
Wiatr zimny śpiewa i rzeka szumi  
O śmierci i samotności.



### 3. NAJCZERWIŃSZY KWIAT

W złocistym powietrzu czuć nadchodzącą jesień:  
Słońce wcześniej gaśnie w zimnej lunie,  
Babie lato po alejach snuje się i rwie się,  
Jak melodia pękniętej struny.  
Jeszcze pyszną się aksamitne georginie  
I tęczową falą płyną astrów rzędy,  
Najczerwieńszy jest kwiat zanim zginie,  
Najtęskliwsze jest serce nim zwiędnie.

*„Nowy Dziennik” 1936, nr 260*

## WIECZÓR NA MOJEJ ULICY

Zapada wieczór duszny i upalny  
Na mojej smutnej ulicy,  
Romantycznie i sentymentalnie  
Zagląda w okno skrawek księżycy.  
Na skwerku pod oknem  
Stoi bez ruchu kwitnący kasztan,  
Z dala błyszczą neonowe ognie  
I huczy rozgwar miasta.  
Huczy miasto i księżyc świeci  
Nad moją uliczką, smutną i ciemną.  
I ktoś na skrzypcach w oknie naprzeciw  
Gra, jakby płakał nade mną.

*„Chwila” 1936, nr 6182*





## SPIS TREŚCI

### WSTĘP

Karolina Famulska-Ciesielska  
- Poeta zagubiony w trybach historii 7

Z tomu *Elegie podolskie* (1931)

Powrót 23

### Cykl *Miasteczko*

1. Zaulek 25

2. Studnia 25

3. Bożniczka 26

4. Szynek 26

5. Rozstaje 27

6. Wólka 27

Ostatnie życzenie 28

Stara panna 29

Życie i śmierć Jonatana grajka 30

Miłość wieczna 31

Moja matka 33

Festyn strażacki 34

Chwila 35

Bukoliczny księżyc 36

To ty? 37

Podwieczorek 38

List 39

Deszcz pada 40

Imię 41

Z okna	42
Radio	43
Żeglarz	44
Cień sztachet	46
O wiośnie	48
To zostanie	49
Teatrum księżycowe	50

Z utworów rozproszonych

Ziemia Święta	51
Jesienne konsolacje	52
Pesach nędzarzy	54
Niedzielne popołudnie w alejach	56
Grób mojego ojca	57
Nauka płaczu	58
Wierzby	59
Elegia o moich praojcach	60
Złota lipa	62
Lament galanteryjnego kupca	63
Wierzbowa fujarka	65
Pożegnanie młodości	66
Nad rzekami Babilonu	67
Podwórko	68
Sen nocy letniej	70
Przyśpiew purymowy	71
Bóg wędruje przez świat	73
Ecclesiastica	75
Wieczór na mojej ulicy	76





Wydawca  
Ośrodek „Brama Grodzka – Teatr NN”  
[www.teatrnn.pl](http://www.teatrnn.pl)



Redaktor serii  
Piotr Mitzner

Wybór i wstęp  
Karolina Famulska-Ciesielska

## **4** BIBLIOTEKA ZAPOMNIANYCH POETÓW

Korekta  
Krzysztof Gajowiak

Skład, układ graficzny  
Michał Kaczkowski

Druk i oprawa  
Drukarnia Petit  
[www.petit.lublin.pl](http://www.petit.lublin.pl)

Lublin 2013  
ISBN 978-83-61064-51-0

MIASTO



POEZJI







**LUBLIN 2013**